

Liliana Rawecka

Opowiadania z cyklu *Labirynt*

### *Pudełka*

Dnia 28 kwietnia tego roku, cały wartościowy dorobek Antoniego Nózki zniknął. Zbierany przez całe życie, jego *magnum opus*, oś i obsesja. Nie chodzi bynajmniej o majątek, który z upływem lat stawał się dla Nózki mniej i mniej ważny, ponieważ z rozległych odmętów możliwych losów wyłoniło się jego jedyne przeznaczenie, zajęcie, któremu miał oddać się całkowicie. Cały jego świat opierał się na kolekcjonowaniu, klasyfikowaniu, zachowywaniu, przechowywaniu i czczeniu tego osobliwego zbioru. Dnia 28 kwietnia tego roku zniknęła kolekcja pudełek po zapalkach Antoniego Nózki.

Już na wejściu do niewielkiego mieszkania, wiedział, że coś było nie tak. Zmieniło się w powietrzu. Brakowało ułamka zapachu. Antoni obrzucił pokój podejrzliwym łypnięciem. Stawiając ostrożne, kocie kroki, przeszedł do sypialni. To co zobaczył, a może czego nie zobaczył, zmroziło jego kręgosłup. Nie było ich, ułożonych zazwyczaj starannie w szklanej witrynie. Dopadł katafalk gabloty, poszukując ukochanych *castrum doloris*. Przyciskając palce do szyby, Antoni zachwiał się, oniemiał. Zachichotał boleśnie i nerwowo, przesunął nie wyzutą z buta stopę, opadł na łóżko. To się nie działo. Nie mogło się dziać. Nie miało prawa. Tyle lat pudełek zniknęło. Nózka mrugał i mrugał. Niepokój. Poczucie nadciągającej zagłady.

Poderwał się z miejsca. Zaczął przetrząsać cały dobytek, tak trywialny w obliczu zguby najważniejszego dla niego zbioru. Z szafek wysypywały się nań zapalki, powtykane w szpary. Czołgał się pod łóżko, wyrzucał rzeczy z szuflad i krzyczał. Witryna stała nienaruszona, nie otwarta nawet. Antoni w furii przewrócił mebel, który z przeszywającym brzękiem rozbił się na kawałki. Bez sił, opadł na ziemię. Dostrzegł odbicie własnej twarzy w którymś z większych odłamków szkła. Wyglądał żałośnie, z przydługimi, siwiejącymi włosami i niedogoloną szczęką, z przekrzywionymi okularami w drucianych oprawkach, z bordowym szalikiem i pustymi, głębokimi oczyma, które tak dawno nie płakały. Przypominały sadzawki, z których spuszczone wodę, w oprawie wysuszonych brzegów powiek. Człowiek, który nie płacze, zbiera butelki łez w trzewiach i zmuszony jest nosić je, uciążliwe i ciężkie.

Przecież nie przekładał ich nigdy, pedantycznie liczył i układał je w ucięte trapezoidalnie prostokąty. Pilnował ich o wiele bardziej, niż rozsądek wskazuje na pilnowanie

kolekcji pudełeczek. Mimo tego, jakimś cudem, pechem czy nieszczęściem, pudełka ulotniły się. Wyparowały, odeszły, jak gdyby nigdy ich nie było. Przestały istnieć.

Jak coś, co było tak oczywistym i zarazem koniecznym elementem codzienności Antoniego mogło po prostu zniknąć? Były pewną rzeczą w jego rzeczywistości, jego jedynym celem, teraz zmora ich przepadnięcia wypełniała duszną sypialenkę. Za oknem ciągnął się szereg szarych chmur. Pogoda niby nie typowa dla wiosny, która co roku prześlizgiwała się do tych pełnych nadziei i zmęczenia dni, gdy wszyscy ludzie są na granicy życia i śmierci z nienawiści do zimy, która przecież powinna już się kończyć. Tak było i tamtego dnia.

Ona leżała. On siedział w zasięgu metra. On przytomny, a ona nie. Ona nie czuła nic, Antoni zaś czuł wszystko i wszystkimi siłami wątłego ciała starał się stłumić w sobie chęć wybuchnięcia. Było to jedno z wielu takich monotonnych popołudni. Nóżka wpatrywał się godzinami w bladą, siną twarz, zapadniętą i chudą. Ci w kitlach również ją obserwowali, z niecierpliwością. Antoni myślał niekiedy nienawistnie, że najchętniej wsadzili by ją do zimnej, metalowej szuflady kostnicy. Mieć to już z głowy. Ale ona walczyła. Jej organizm nie chciał się poddać. Antoni też walczył. Ta walka polegała na napięciu, oczekiwaniu, stresie, strachu i rozpacz. Trwał w stanie zawieszenia i czuł pustkę. Spinał się i kręcił na plastikowym krześle, czuwał. Wysiadywał resztki nadziei, chciał pozwolić im się wykluć. Pod białą lampą czas nie istniał. Symulowane światło nie przypominało naturalnego, było jedynie sterylnie leniwą próbą utrzymania widoczności. Antoni tarł twarz. Antoni oglądał ściany. Antoni medytował. Antoni starał się nie myśleć. Czasem odzyskiwała przytomność. Nawet odzywała się. Mówiła, by podać jej buty, mówiła o podróży do Czech i mówiła o swojej matce. Słowa wyprzedzały myśli, które nie zdążyły doścignąć świadomości, zanim ona nie zapadła z powrotem w sen. Nóżka słuchał tych majaczeń i trzymał ją za rękę. Doświadczał tych przeblysków bardziej niż ona była w stanie. Raz wypowiedziała jego imię.

“Antoni, pogrzeb mnie w pudełku zapalek.”

Tego wieczora Antoni wrócił do mieszkania. Nie mógł już wytrzymać. Nie dawał rady dłużej czuwać. Nie umył zębów. W ubraniach i okularach, zapadł w mosiężny sen. Nic mu się nie śniło.

Umarła tej nocy. Dostał telefon. Potem Antoni nie pamiętał. Wyłączył zapis pamięci na jakiś czas.

Poszedł następnego dnia do pracy. Wziął dodatkowe godziny, tak aby po powrocie do mieszkania nie doświadczać ani jednej myśli.

Jakiś czas później, Antoni zapalał znicz. Zapalka syknęła, zanim zajęła się ogniem. Pudełko, Antoni, pudełko zapalek. Ścisnął je w dłoni.

Zachował je. Nosił przy sobie. Czasem w roztargnieniu wciskał rękę do kieszeni, aby upewnić się, czy wciąż tam było. Niedługo potem skończyło się kolejne pudełko zapalek. Włożył je do szuflady. Jedno po drugim, pudełka zaczęły zapełniać życie Nózki.

W tym okresie Antoni nabrał pogardy dla zapalniczek. Gdy odwiedzał cmentarz, szukał w krzakach i między grobami. W kościołach wkładał rękę do długich kieszeni futrzanych płaszczy babć. Śliskie podszewki ułatwiały robotę. Kupując papier toaletowy, zawsze zahaczał o półkę, gdzie stały. Nurkował niekiedy w osiedlowych śmietnikach, gdy jeszcze nie były całkiem pełne. Może chciał zbudować z nich trumnę. Jego dzieło. Nie myślał o niej, kiedy mógł myśleć o pudełkach. Były teraz ważne. Musiał się czegoś trzymać. Jakoś się trzymać.

Antoni płakał bezgłośnie, pomiędzy rozrzuconymi skarpetami, zapalkami, odłamkami szkła. Pudełka już go nie zajmowały. Myślał o niej. Wyszła ze świata w samotności. Czy odczuła jego nieobecność? Nóżka rozplywał się na sypialnianej podłodze, nieodkurzanej. Przypomniawszy sobie jej chropowaty głos. Przypomniawszy sobie jak się śmiała, kiedy mimo skręconej kostki tańczyła nieporadnie do ich ulubionych piosenek. Śmiała się w głos, że mimo wszystko, Nóżka wciąż dyga. Przypomniawszy sobie jak chodzili na spacer wokół jeziora, i jak ogrywała go w karty, i jak przekrzywiła głowę, i jak drżała jej broda, gdy działo się coś niespodziewanego. Antoni pozwolił sobie pamiętać. Puścił. I tak popłynął już za daleko, by wracać do skompresowanego stanu z przed tajemniczego zniknięcia pudełek.

## *Episteme*

Siedzę w na wpół opustoszałej sali, większość krzeseł stoi bezładnie. Usiadłyśmy w rogu. “Etyka”, mówię, zaglądając w notatki. “Dziedzina zajmująca się dobrem i złem, moralnością, i tak dalej”. “Metafizyka”. “To, co poza światem materialnym, pytania o byt, co istnieje. Dusza, bóg.” “Epistemologia”. Widzę, że się zastanawia.

Zawsze miałam mieszane uczucia do tego miejsca. Zbitek szarych klocków, poustawianych byle jak, jeden na drugim. Są rzeczy, które mam mu za złe. Trudno mi przywołać jego zalety. Jednak czuję się wygodnie, życie płynie tu lekko. Łatwo wpadam w gniew. Jestem uwięziona. Kocham miasto.

Zwiedzam je, jestem turystką własnej rzeczywistości. Oglądam z podziwem relikwie z dzieciństwa, pobazgrane mury. Brzydkie formy, bezkształtne i zbyt kanciaste. To moje prywatne zabytki, pomniki o szczególnym walorze sentymentu i tęsknoty. Spoglądam przez ramię. Błądzą wzrokiem po okiennicach. Zahaczam rękawami o ludzi. Jestem dla nich ulotna. Przechodzę. Włóczę się i nie myślę o niczym. Gubię się we własnych korytarzach. Miasto to dla mnie wieczny labirynt, niezbadany. Niezadbany. Wybieram te same drogi, bo nie umiem zboczyć ze szlaku. Przejścia podziemne są moim osobistym piekłem, przestrzenią infernalną wybrukowaną szarymi płytkami. Zawsze spotyka się tam coś, co budzi niepokój, nawet jeśli chodzi o samą niemożność wydostania się na odpowiedni przystanek.

Ulice zawodzą, ryte głębokimi bruzdami. Ich ziemista krew spływa do rynsztoku. Blizny ogradzają metalowe płotki. Są jak stałe, hipochondryczne pacjentki, które nie mogą wyjść z gabinetu doktora robotnika. Budzą nienawiść wszystkich oczekujących na swoją wizytę, przecież się spieszą, mają gdzie być. Ulice płaczą, znienawidzone. Rozkopane groby.

Śmierdzi tu obietnicą. Odczuwa się ją w powietrzu. To taka obietnica, o którą nikt nie prosił, nikt nie chciał, aby została spełniona. Ona spełnia się sama.

Ciemną grudą noc toczy się nad miastem. Nocą, miasto chce odżyć i chwyta się skrawków społeczeństwa. Nocą, chodniki są brudne. Wyłażą pokraki i robale, zabłocone, wołają o swoją dawkę szczęścia. Nigdy go nie znajdują. Noc nie ma w sobie szczęścia. Ani krztyny bezpieczeństwa, nie wspominając nawet o spełnieniu. Ma w sobie coś, co przepelnia poczuciem zmarnowania i bezsensu. Uśmiechy, które rodzą się nocą, sięją pustkę. Poranki przynoszą cichą rozpacz.

Ludzie, ukochani lokatorzy, są bezgłowi. Towarzyszy im muzyka. Nie mają już serc. Wyżarła je bezsenność i czas, w mieście nic nie dzieje się na czas. Mieszkamy tu wszyscy. Połączeni pajęczą siecią, od której nie sposób uciec, a nie da się jej zerwać. Znamy się i czasami wydaje się jakby było nas nie więcej niż dwudziestu ośmiu. Miasto nas chyba nie uszczęśliwia, ale żyjemy tu. Może po prostu boimy się wyjechać. Nie chcemy sobie uświadomić, ile już straciliśmy, kisząc się na tych krańcach świata. Byłe nie dopuścić do siebie świadomości, że to jedyny świat, jaki znamy.

A może to wszystko po prostu smog, słabe połączenia i ciągle remonty. Może to tylko wyobrażenia, pretensjonalność, grafomania i nadawanie sensu nieistotnym szczegółom. Wyolbrzymianie. Może to po prostu notatki auto-męczennika.

“Epistemologia, to dziedzina filozofii zajmująca się... prawdą?” Kiwam głową, niech kontynuuje. “Nie wiem co dalej.”

“Prawda, poznanie rzeczywistości. Jakie są granice poznania”. Kto inny spogląda na mnie, z drugiego końca pokoju. Odpowiada:

“Swarzędz.”

## *Pamiętnik zbawcy*

### **Dzień 1**

Mam 2 pary oczu, jedną do patrzenia, drugą do widzenia. Mam 2 pary uszu. Jedna słyszy, druga słucha. Mam 4 nosy: jeden czuje zapach ludzi, drugi miejsc, trzeci substancji a czwarty wspomnień. Mam 8 kończyn, za które nie odpowiadam. Mam 120 rozwiązań na wszystkie problemy ludzkości. Mam 3 kompleksy: ofiary, bohatera i ojca. Mam dwa smutne wąsy. Mam problemy. Mam 2 półkule: jedną do myślenia, drugą do samouwielbienia.

### **Dzień 2**

Dbam tak jak należy. O paznokcie. O owłosienie. O skórę. O formę. O wyraz. O czystość. Zapach musi być neutralny. Dbam o mieszkanie. O to, żeby lśniły się okna. O wypolerowane sztuce. O brak kurzu. Dbam o rośliny. O życie. Dbam o pismo. O schludne notatki. Dbam o pamiątki. O śmierć. Dbam o staranność wykonywanej pracy. Dbam o idee i ideały. Dbam o porządek wszelkiej rzeczy we wszechświecie. Żeby były na swoim miejscu.

### **Dzień 3**

To, czego doświadczam, nigdy nie przebija się przez barierę skóry. Działania innych spływają po mnie. Zawsze mówiono mi, że nie da się nic włożyć do środka, ani nic wyciągnąć. Ze mnie, znaczy się. Jestem widzem na ziemi. Nie można mnie zmienić. Jestem nieruchomy.

### **Dzień 4**

Wszystko istnieje za moją zgodą, istnieje tylko, kiedy mam z tym kontakt. Istnienie polega na byciu postrzeganym przeze mnie. Jest jedna perspektywa. Jestem w ciele. Nie doświadczę innego ciała. Nie jestem stąd, ale bardziej stąd niż z jakiegokolwiek innego miejsca.

### **Dzień 5**

Miłosierdzie: jestem miłosierny. Jestem dobry i litościwy. Spowodowany przeze mnie pokój jest przyczyną wojny. Czynię cuda. Jestem krwawy, prawdziwy, ofiarny. Jestem przedmiotem żalu. Jeszcze będą tęsknić za moim powrotem. Będą pokutować za moją śmierć. Tak samo jak kiedyś. Jestem niespełnionym męczennikiem, póki co.

### **Dzień 6**

Dobiega kres. Egzystencji jedynej perspektywy. Współczujcie mi, żałujcie mnie. Jestem sam, w pustym mieszkaniu.

### **Dzień 7**

Oto ja, wracający do domu. Pociągający za spust. Kopiający stołek. Przyciskający do tej umęczonej skóry. Sąsiedzi powiedzą: zawsze słyszeliśmy “dzień dobry”. A potem przez dwa tysiące lat będą szaleńczo przekazywać klątwę, w którą wierzą. Wierzą we mnie. Moje odejście to mój powrót. Ale teraz już nie powrócę, bo nie ma do czego. Za dwa tysiące lat, będę zamknięciem. Umieram. Wracam do domu.

### *Ludzie bez tytułu*

— Bujda i tyle - kwituje Krótki - to przecież jest w ogóle niemożliwe, żeby przeżyć atak rekina.

Siedzimy. Myślimy. Oddychamy. Niewiele więcej. Tuż obok jakiegoś budynku, nieistotnego.

Jest ciemno, ale niebo samo w sobie jest jeszcze jasne, pomarańczowo-szare, jak to zwykle bywa zimą. Słońce się zbyt szybko spieszy z zachodem i potem wychodzi z tego taki ni wieczór, ni popołudnie, trochę widne, trochę nie.

— Przysięgamy. Tak mówili.

— Jakiś absurd. Kto by się odważył zamachnąć na takiego drapieżnika? Strasznie głupio to brzmi, bo jakby ktokolwiek normalny zobaczył rekina tak, tuż przed sobą, to ani by myślał dać mu w nos. Chyba by się raczej szybko nawracał do pierwszej religii, która mu przyjdzie na myśl - szczerzy się. Też się szczerzę, bo jak się wyszczerzy ktoś taki jak Krótki, to nie wyszczerzyć się nie sposób.

Miałoby to sens, żebyśmy coś palili, ale my nie z takich. Jakoś się nigdy u nas w towarzystwie to palenie nie zaczęło, kiedy jeszcze nam się chciało próbować, a jak się nie zaczęło, to się odechciało na zawsze. Bo z paleniem to jest jak, że się bierze bucha, potem się człowiek zaklina, że może przestać w każdym momencie gdyby zechciał, a potem się umiera na raka płuc. Zamiast tego skubujemy więc skórki palców, albo obgryzamy trochę wargi od środka.

— Niech już będzie z tym rekinem. Ja tam bym przeżyła. - Krótki marszczy nos. Wiem, że to tylko tak. Bo my się lubimy.

Z Krótkim i mną było tak:

Spotkaliśmy się gdzieś przypadkiem. Chyba pierwszy raz na sylwestrze z trzy lata temu. Ja byłam z kimś i on był też z kimś, zgadaliśmy się. Taką ekipą, ja, Krótki, Tymon, Mela, się zaczęliśmy spotykać. Tworzyliśmy zgraną grupę, paczkę, przez jakiś czas. Znałam się z Melą od wczesnego dzieciństwa, przez rodziców. Tymon z Krótkim się przyjaźnili w podstawówce. Nasza grupa się rozszerzała i kurczyła, na krótko lub dłużej, wpadaliśmy w wir większego towarzystwa, ale gdy się rozpadło, zawsze czwórką wypływaliśmy na powierzchnię. Ale Tymon i Mela zaczęli ze sobą chodzić. Z początku nie sprawiało to problemów. Trochę nas olewali. Byliśmy niby w czwórkę, ale tak naprawdę to byliśmy w dwójkę i dwie jedyńki. Kiedy wychodzili z pokoju, między mną, a Krótkim zapadała niezręczna cisza. Trudno, żeby wszystkie relacje były takiej samej gęstości. Także właśnie nasze rozmowy, spojrzenia, uśmiechy, nasze, czyli moje i Krótkiego były nie gęste, a rzadkie. Bez substancji, były lekkie, bez tekstury. Rozcieńczone. To się oczywiście zmieniło, kiedy Mela zostawiła Tymona dla jego największego wroga, Marasa. Wielkie uczucia to nic przyjemnego i nic dobrego z nich nie wynika. Od tamtego czasu byliśmy trójką. Może Tymon się nami znudził, a może byliśmy przypisani w jego wspomnieniach do Meli. W każdym razie, zmienił szkołę pewnego dnia, nikomu nie mówiąc. Tyleśmy go widzieli.

No i zostaliśmy. Krótki i ja. Krótki krótki, ale nie krótszy ode mnie. W kwestii wzrostu jesteśmy należnej sobie, według płci, przeciętności. We wszelkich kategoriach można nas do takiej przeciętności przypisać. Tacy jesteśmy zwyczajni, że to aż niezwykle. Przyglądam się dokładnie Krótkiemu. Ubrany tak, jak tylko może być ubrany nastolatek, bez

większej uwagi, ale nie niedbale. Spodnie za duże, bluza, kurtka noszona którąś z rzędu zimę, czapka jak złodziejasek. Włosy w tym konkretnie nieokreślonym odcieniu szarego brązu, niebieskie oczy zwracają się ku mnie. Spotykam jego wzrok i mam wrażenie, że on też się mi przygląda, tak jakby myślał to samo co ja, w tym samym momencie. Przez chwilę się nie odzywamy, ale nasza cisza jest inna niż kiedyś. Jest swoja, zręczna. Myślę, że im lepiej się kogoś zna, tym milczenie mniej drażni. To właśnie relacja - kiedy można sobie wspólnie pomilczeć.

Robi się zimniej. Wracamy ramię w ramię. Przez chwilę mam wrażenie, że już zawsze tak będziemy wracać. Ja i Krótki. Tak trwamy w spacerze. Nigdy się nie zakocham w Krótkim, ani on we mnie. Ale zawsze musimy być razem, albo chociaż pod ręką, gdzieś we wzajemnym życiu. Krótki mnie odprowadza do domu i rozmawiamy o czymś tam, nieważne. Ważniejsze jest to, czego nie mówimy. Czasem mam wrażenie, że czyta mi w myślach. Już powiedziałam wszystko ruchem ręki, tym jak postawiłam stopę. Spojrzeniem, przypadkowym drganiem któregoś z mięśni twarzy.

Krótki wie. Wie, jak to jest być odstawionym na drugi plan. Też jest szary, nie ma znaczenia. Są z nas asystenci, statyści w życiach innych, niesamowitych ludzi. Dryfujemy w swojej abnormalnej normalności. Czasem tylko prześwitujemy do życia. Zawsze tak było. Tak jest z przeciętniakami, i właśnie tam znaleźliśmy zrozumienie, wspólny teren, z którego powoli wychodzimy, i to wychodzenie trwa już od półtora roku. Tak jest dobrze. Żegnamy się na rogu mojej ulicy. Rzucam głupi żart. On prycha, bo wiemy, że to taki żart, który nie ma być śmieszny, a właśnie jego nieśmieszność ma być powodem do śmiechu. Ogląda się za mną. Wiem to, więc też się oglądam. Spotykają się nasze ciepłe uśmiechy.

W domu myślę o wszystkim oprócz Krótkiego. A on idzie do siebie okrężną drogą, kluczy osiedlem, błądzi z zamierzenia. Łazi i włóczy się, pewnie do wieczora. Może cały czas rozmyśla o tym rekinie.

### *7 grzechów (a nawet więcej)*

To, jak trafiam na wielki melanż u Rysia jest sprawą nierozwiązaną i taką zapewne pozostanie, jako że nigdy nie uwzględniano mnie wśród adresatów zaproszeń na podobne wydarzenia. Może należy tłumaczyć tą nagłą otwartość jako wynik poczucia winy



gospodarza i jego znajomków, którzy swego czasu nie byli wobec mnie zbyt życzliwi, a może ze względu na to, że Mama niedawno zachorowała, a takie informacje rozchodzą się szybko wśród rodziców klas licealnych. Może jest jakiś inny powód, jednak dla własnego spokoju uznaję to za swego rodzaju akt litości. Niezjawienie się było rozważaną przeze mnie opcją, ale gdy Kornel usłyszał, jaką okazję mam zamiar przepuścić przez palce, był gotowy rzucić się na mnie z pazurami. Robię to więc dla niego.

Tak oto stoimy więc przed wejściem dwupiętrowego domu, który w swej brzydocie ma urzekająca glorię braku gustu ludzi zamożnych. Dachówki są jasnobrązowe, okna trochę za małe i jest ich zbyt wiele, a weranda, niby ozdobna z kolumnami, wydaje się śmiesznie kiczowata. Dom, oraz uczucia, które w nas wzbudza, jest uosobieniem całej tej, dziwnej dla mnie i Kornela sytuacji. Coś wielkiego, przerażającego uderza nas dopiero teraz, kiedy stoimy przed otwartą bramą. Jeszcze nie weszliśmy, już wiemy jednak, że nie ma odwrotu. Odważnie zapewniam Kornela, że w razie czego zawsze możemy wyjść i pojechać do mnie, on przytakuje mi mężnie, obaj jednak nie ruszamy się z miejsca, analizując wciąż tętniący życiem budynek, rzucający na nas cień należytego życia młodzieńczego. W każdym razie, powtarzając moją, teraz nasiloną myśl, nie ma już za bardzo odwrotu. Trzeba tu zostać, pokazać się, choć na godzinę. A przynajmniej tak zapewnił mnie Kornel.

Na wejściu wita nas przede wszystkim muzyka - czuję, że gra się ją bezpośrednio na moich bębenkach. Drugie, co zauważam, to kolorowe światła. Wzdłuż listwy podłogowej ciągnie się pasek światełek LED, migających w RGB. Potem uderza ilość ludzi. Z przedsionka widać kawałek salonu i kuchnię. Najwięcej osób zgromadziło się przy blacie kuchennym, stanowiącym barek. Podchodzi do nas jakaś dziewczyna, wita się z nami jakby nas znała. Nie wiem, jak to jest, że nas wita, bo przecież to dom Rysia. Ta myśl nie pozostaje zbyt długo w mojej głowie, gdyż zaczynam automatycznie pierwszy z wielu spis cech osoby.

Głos: wysoki, monotony. Próbuje przekrzyczeć muzykę.

Włosy: rozjaśniane, spięte klamrą. Wyglądają na zniszczone wielokrotnymi zmianami koloru.

Wzrost: niższa od Kornela, czyli dość niska.

Ubiór: trudno wytłumaczyć. Kolorowy top, coś w rodzaju krótkiego kardiganu i poszarpane džinsy, celowo oczywiście.

Aksesoria: nie widziałem chyba tylu pierścionków na raz. Nie wiem, czy paznokcie liczą się jako akcesorium, są jednak bardzo wyraziste i szpiczaste.

Twarz: duże oczy, nos zadarty. Jaskrawoczerwona szminka, nasuwająca na myśl krew u Tarantino.

Tyle informacji udaje mi się zebrać w czasie zaledwie kilku sekund, kiedy rzuca do nas słowa powitania, przytula nas przelotnie jednego po drugim, uśmiecha się do nas, po czym mina jej rzednie, gdy Kornel odpowiada jej, że niestety nie mamy ze sobą żadnego alko. Momentalnie znika w tłumie, stając się niemożliwa do odnalezienia wśród roześmianych tańczących. Nie potrafię wyjaśnić, co w nas wstępuje, ale wymieniamy z Kornelem porozumiewawcze spojrzenie i podchodzimy do blatu. Trudno jest się przedostać przez ludzi, pozornie sklejonych w jedną masę. Ręce mam jednak długawe, sięgam więc ponad czyimś ramieniem i chwytam, co tylko dam radę. Po chwili siedzimy już na zewnątrz, na tarasie, próbując nie udławić się dymem. Dym jest wieloraki, bo trochę gryząco-słodkawy, trochę o smaku winogronowym, a trochę jak spalenizna. Grunt w tym, że chmury są imponujące, a zapach dusi. Robimy co w naszej mocy, aby nie zacząć kaszleć, bo nie jest dobrze być na imprezie moralizatorem albo straightedgem. Pociągamy po łyku z butelki, raz ja, raz Kornel. Zastanawiam się, czy palaczom nie jest zimno, ponieważ w dużej mierze siedzą rozebrani. Uświadamiam sobie, że Kornel coś do mnie mówi, ale już jest za późno, bo zanim zdążę powiedzieć, że nie dosłyszałem, wstaje i w tempie niemal natychmiastowym znika wśród żywej, ludzkiej masy. Gdzie idzie? Pewnie mi powiedział. Trudno, poczekam tu. Mijają minuty, ale nie wraca. W międzyczasie słucham rozmowy stojącej koło mnie grupki dziewczyn.

Głosy: sykliwe.

Twarze: zmrużone oczy i równe zęby.

*Widziałaś jak się wylaszczyła, wszystko ma na wierzchu i na pewno próbuje zaimponować Wiktorowi, pusta lala, jak dobrze, że się z nią nie trzymamy, a poza tym i tak wiadomo, kto się Wiktorowi podoba, ona mi przecież do pięt nie dorasta, on rozmawia z nią tylko dla beki.* Chichot. Nie czuję się dobrze podsluchując, ale słuch mam dobry, a dziewczyny stoją dość blisko. Mimowolnie rozmyślam o kim mówią i czym tak naprawdę przewiniła osoba, o której się tak wypowiadają. W pewnym momencie ktoś mnie zagaduje, wyrrywając mnie z zadumy. Przedstawia się jako Janek i jest święcie przekonany, że chodziliśmy razem na piłkę.

Głos: nosowy. Źle akcentuje niektóre słowa.

Włosy: dłuższe, niż ma większość chłopaków zainteresowanych sportem.

Twarz: rozbiegany wzrok, prosty nos i szerokie, cienkie usta.

Być może, mówię wymijająco, bo po Janku widać, że doskonale bawi się na imprezie, i to już od jakiegoś czasu *Taaaak*, mówi, *chodziliśmy. Miałaś takie niebieskie spodenki, co ci spadały i musiałyś podtrzymywać. Sory, że się śmialiśmy z ciebie, no, wiadomo, że to tylko takie żarty*

były. *W sumie to musisz nas zrozumieć, bo psuleś nam grę, taki list waliabył plejer, hehehe.* No, ale ogólnie to teraz ja jestem najlepszy w drużynie, a nie ten Szymon, idiota jechał na jakichś sterydach, trener mnie wybrał na kapitana... — mam wrażenie, że każde słowo sprawia mu coraz większą trudność. Patrzę intensywnie na mojego towarzysza rozmowy, trudno jest jednak nazwać rozmową to, co między nami zachodzi. Jan spogląda nie na mnie, a w przestrzeń. Wydaje się jednak, jakby nic nie widział. Siedzi bardzo blisko, obejmując mnie ramieniem, mówiąc około dziesięciu centymetrów od mojego ucha, z wielką pasją zapewniając mnie, że jak zamknęli mnie w szafce to tylko było dla śmiechu, a nie na serio, i mimo to wszystko wciąż mam wrażenie, że wcale nie rozmawia ze mną, a do mnie. Nagle chwiejnie wstaje i klepie mnie w szyję, nie wiem czy intencjonalnie. Miłego wieczoru. Oddala się. Nigdy nie chodziłem na piłkę.

Stwierdzam, że trzeba odnaleźć Kornela, który mimo chęci, nie był obyty w imprezowaniu. Nie ma go od około dwudziestu minut i powoli przestają mi przychodzić do głowy pomysły, dokąd mógł się udać, porzucając mnie. Nie ma rady, drzwi tarasu prowadzą bezpośrednio do zadymionego salonu. Postanawiam zmierzyć się z falującym tłumem parkietowym, staję twarzą w twarz z ruchliwą, beztroską grupą. Biorę głęboki oddech, zanurzam się w ciało tańczące. Z bliżej nie zlokalizowanego źródła dobiega mnie agresywny głos i basy, a ciało tańczące jest też ciałem śpiewającym, a raczej krzyczącym.

Zdaję sobie sprawę, że jestem teraz częścią ciała. Gęstego, spoconego, wrzeszczącego, ciasnego ciała. Mam wrażenie, że im bardziej próbuję się wydostać, tym bardziej zaciska się wokół mnie, prawie jak ruchome piaski, tonę. Nie mogę oddychać. Moje uprzejme, desperackie prośby giną wśród skaczącej masy. Objamy się o siebie, szarpiemy wręcz, powoli przypomina to bardziej bójkę niż potańcówkę. Wśród muzyki słyszę wyzwiska, zaczyna się robić nieprzyjemnie. Widzę tylko kątem oka, że ktoś dostaje w szczękę.

Aksesoria: sygnet na palcu wskazującym. To musiało boleć.

Serce bije mi jak opętane, bo czuję, że nigdy się stąd nie wydostanę. Danse macabre. Jestem na granicy. Ból w klatce piersiowej nasila się coraz bardziej, brakuje mi tlenu. Nagle, gdy już czuję, że to mój koniec, ciało przestaje się ruszać. *Styypaaaaa*, krzyczy ktoś z zapamiętaniem, *puśćcie coś innego!* Kilka głosów popiera ten wniosek. Chwilowa cisza. Nie wiem, co się stało, ale to moja jedyna okazja na przetrwanie. Ciężko dysząc rzucam się do korytarza, który widzę teraz jako wyjście. Nie myślę o tym, że ciało jest teraz niezjednoczone i rzadkie, przez co mój pełen nadziei sus kończy się twardym uderzeniem o drewniany parkiet. Kładę się na plecy. Wszyscy się na mnie patrzą. Nie wiem, kiedy przestała grać

muzyka, ale teraz cisza staje się ewidentna, teraz, akurat teraz, kiedy leżę z obitą o podłogę brodą. Dzwoni mi w uszach, więc jak najzgrabniej, czyli w ogóle nie zgrabnie, zbieram się z podłogi. Muszę szybko się stąd wydostać.

Instyktownie wbiegam po marmurowych stopniach i wpadam do pierwszego pokoju. To łazienka, w której ktoś pochyla się nad muszlą.

Włosy: trzymane.

Robi mi się goręcej, wydostałem się z tłumu, ale wciąż nie mogę oddychać. Trzaskam drzwiami. Otwieram kolejne. Czyjś pokój, pewnie Rysia, bo jest tu strasznie dużo trampków, a wszyscy wiedzą, że Rysio jest kolekcjonerem. Nagle słyszę pisk, ktoś wskakuje pod kołdrę.

Ubiór: brak.

Inny głos, to znaczy nie ten, który pisnął każe mi się wynosić, ujmując łagodnie jego słowa. Naprawdę nie mam ochoty tu być. Wciąż dziwnie brakuje mi powietrza i wciąż mam wrażenie, że serce zaraz wyskoczy mi gardłem. Wpadam do trzeciego pokoju, tu na szczęście nikogo nie ma. Siadam pod drzwiami i przyciągam kolana pod obitą, obolałą od upadku brodę. Łapczywie chwytam powietrze i powoli mój oddech się uspokaja. Przecheszuję spoconą dłońią włosy i opieram głowę o ścianę. W głowie kotłuje się mnóstwo odczuć, ale ani jednej myśli. Zauważam moje otoczenie, pralka, suszarka, gdzieś nade mną wiszą czyjeś kalesony. Trwam tak, nie wiem ile, równie dobrze mogą być to sekundy i godziny. Moja klatka piersiowa już unosi się miarowo. Serce też bije wręcz metronomicznie. Otwieram oczy. Kornel, miałem znaleźć Kornela. Doznaję olśnienia, najoczywistszego ze wszystkich olśnień. Z kieszeni spodni wysupluję telefon. Kornel, gdzie ty jesteś? *Wracam do domu, stary, przecież powiedziałem Ci, że zapomniałem...* — już go nie słucham. Kornela tu nie ma. Ja przeżywam męki, a ten leń wraca sobie do domu. Przecież to był jego pomysł, żeby w ogóle tu przychodzić, ja wypruwam sobie żyły próbując go ratować przed zgubą, a on sobie odpoczywa. Chowam komórkę. Wychodzę. Pora wydostać się z tego piekła.